

Premiera: Konstanty Willemann odchodzi w ciemność i w ciszę

- Inscenizacja „Morfiny” w Teatrze Śląskim to niezwykle spektakl w niezwyklej przestrzeni
- Ale też dowód na to, jak bardzo różnorodnie odczytywana może być proza Szczepana Twardocha

Z notatnika recenzentki

Henryka Wach-Malicka



Jeśli ktoś spodziewał się po adaptacji „Morfiny” Szczepana Twardocha w Teatrze Śląskim zgrabnie skrojonego streszczenia, to się zawiódł. Tej powieści po prostu nie da się przenieść na scenę „1:1”, każdy z odbiorców znajduje w niej bowiem własne pole interpretacji.

Czytelniczy sukces „Morfiny” wziął się między innymi z tego przecież, że gęsta od skojarzeń i podtekstów proza Twardocha inspirowała każdego z nas do wyrąbywania własnej ścieżki przez monolog Konstantego Willemanna. A i tak nigdy nie mogliśmy mieć pewności, czy nadążamy za bohaterem, który przy pierwszej próbie „kwalifikacji”, natychmiast wymykał się spod kontroli...

Spektakl - wizja osobista

Tak więc tytu Willemannów, ilu czytelników i każdy ma swój jego obraz. Reżyserka Ewelina Marciniak i dramaturg Jarosław Murawski, autorzy spektaklu w Teatrze Śląskim, też go mają.

Wartością ich scenicznej wizji „Morfiny” jest jednak to, że prócz interesującej interpretacji tekstu Twardocha, stworzyli osobną, już bardzo własną, oryginalną i szalenie teatralną, jakość. Fascynujący, dwugodzinny spektakl wygląda jak jeden wielki narkotyczny trans, w któ-

● WIĘCEJ ZDJĘĆ ZE SPEKTAKLU OGLĄDAJCIE NA WWW.DZIENNIKZACHODNI.PL



▶ Niezwykły dwugodzinny spektakl wygląda jak jeden wielki narkotyczny sen, a akcja dzieje się symultanicznie na kilku planach

rym mieszają się obrazy, dźwięki, ludzie, wspomnienia i wizje, a czas zapętla się na wielu poziomach. Pozornie bezładny tok narracji, w rzeczywistości jest precyzyjną, zaplanowaną co do sekundy, partyturą, w którą Ewelina Marciniak wpisała poszczególne sytuacje.

I choć akcja dzieje się symultanicznie na kilku planach i na ogromnej przestrzeni (świetnie wpisanej w naturalną scenografię Szybu Wilson), a żadna z postaci nie „odpoczywa” nawet przez chwilę, to spektakl jest tak skonstruowany, że publicz-

ność śledzi dokładnie ten fragment, który w danym momencie jest najważniejszy. Wszystko to „organizuje” zaś i komentuje niezwykle, energetyczna muzyka zespołu „Chłopcy kontra Basia”.

Konstanty - ironista

W umownym środku tej wielkiej maszyny pozostaje oczywiście Konstanty, choć nie zawsze to on prowadzi widzów przez swoje życie. Willemann w ujęciu Marciniak jest przede wszystkim autoironiczny. Za dużo przeżył, za dużo spraw skomplikował, by

znaleźć jakiegokolwiek inne schronienie, poza dystansem do świata, który zresztą kończy się na jego oczach i nie daje już nadziei.

Grający Konstantego Paweł Smagała akcentuje tę ironię niemal w każdym zdaniu. Nawet jeśli rozpoczyna je serio, zwodząc publiczność obietnicą powagi, to kończy z jakąś upiorną przekorą. Nie tylko dlatego, że jego bohater jest do szpiku zepsuty (choć jest), ale i dlatego, że skoro nie potrafi sobie ze światem radzić, to go obłąkawia szyderstwem. Spod pozorów hucpy przeświłtwa je jednak bezradność bohatera,

próbującego skleić swoją tożsamość. Nawet nie odnaleźć, ale już tylko skleić z kawałków wspomnień.

Z niemiecko-śląskiego rodowodu, który w wojennej rzeczywistości można starannie ukryć, ale można też wykorzystać. Z polskich mitów, przez które można zostać bohaterem, ale można też przez nie głupio umrzeć. I z upodobania do hulawczego życia, które daje przyjemność, ale może też kompletnie wyprać z emocji. Gdy jednak mija kolejny erotyczny szal, rozwiewa się patriotyczny dym i zawo-

dzą polityczno-życiowe kalkulacje, bohaterowi przedstawienia Eweliny Marciniak pozostaje tylko złoty pył złudzeń.

Czas - zabójca wspomnień

Pamięć ludzka jest jednak wybiórca. Sceniczny Konstanty nie rozróżnia już tego, co wydarzyło się naprawdę, co jest zniekształconym przez czas wyobrażeniem, a co odżywiająca po latach pretensją. Poddaje się biegowi zdarzeń, jakby rozbawiony swoją bezradnością, nad którą nie może, i nie chce, zapanować.

W narkotycznym śnie przewijają się przed nim ludzie-fantomy. Kiedyś dla niego ważni, teraz karykaturalnie demoniczni, albo już tylko żałośni. Pawła Smagałę w roli bohatera „Morfiny” fantastycznie wspierają aktorzy Teatru Śląskiego, niektórzy brawurowo przełamujący swoje emploty. Niesamowicie sugestywną postać Matki, oscylującej pomiędzy koszarowo-patriotycznym stylem wychowywania syna a próbą ochrony go przed trudami dorosłego życia, stworzyła Violetta Smolińska. Anna Kadulska, jako Hela - w czarnej sukni, wprost z płócien Grotgera - zapada w pamięć kapitalnie zagraną rozterką między chęcią bycia „wdową po bohaterze” a erotycznym (skrywanym) pożądaniem. Katarzyna Błaszczynska i Aleksandra Fielek świetnie w rolach kobiet fatalnych z założenia, choć niepozbawionych realizmu. W tej inscenizacji nie ma ról naszkicowanych. Wszystkie są wyraziste, choć ani jedna nie jest jednoznaczna. I wszystkie, w finale, zapadają w ciemność i ciszę przemijania. ●